



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebnera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

POGA WĘDKA

Może to niedobry *omen*, że moje pogawędki zaczynam znowu pisywać w Wielkim Tygodniku; dla przesądne go nasunąłby się cały szereg złych wróżb na przyszłość.

Co do mnie, wolę się uważać za pokutnika, który, jak syn marnotrawny wraca do dawnego ogniska domowego; lata całe spędziłem przy niem, a po kilkumiesięcznej przerwie, znowu zajmuję dawne miejsce, ale tym razem, aby ewentualny mój ubytek czemś wyraźniejsem odznaczyć podpisywać się będę moim feletonowym znakiem, niby pieczęcią na dokumencie.

— Co za zarozumiałość — powie nie jeden z moich przyjaciół, niepisujących felietonów — on swoje bazgroły uważa za dokumenta!..

Zapewne, że uważam, ale tylko ze stanowiska protokulisty, który spisuje akta i wiarygodność ich poręcza; mimo wszystko, przyznaję się do tej naiwności, że mam jeszcze szacunek dla drukowanego słowa i „czarne na białem,” pragnąłbym zawsze uważać za dowód faktu przekonania, uczucia i dążeń. Chciałbym, aby te dobre czasy znowu wróciły, kiedy czytelnik mawiał:

— Musi to być prawdą, skoro stoi wydrukowane.

Dzisiaj to pokolenie czytelników wymarło; a ci nowi, biorąc dziennik lub książkę do ręki, najczęściej już powiadają sobie:

— Dla czego my mamy więcej wierzyć temu, dlaczego mamy się tem bardziej przejmować — od autora?... ot, papier cierpliwy, więc piszą na nim co się zdarzy: dzisiaj tak, jutro inaczej; tu białe, a tam czarne.

Żeby zawsze chociaż pisali to tylko, co im samym prawdą się wydajel

— Nie troszcz się o innych, a czyń, co do ciebie należy i za co sam możesz przyjąć odpowiedzialność — powtarzał mi jeden z pierwszych moich mentorów na literackiej drodze; nauki tej starałem się nie zapominać nigdy i na przyszłość przyrzekam o niej pamiętać.

Pisać felieton w Wielkim Tygodniku a nie zacząć go od świąt i Bożych grobów, nie wspomnieć okwiesie na ubogich, nie spróbować nowej wariacji na stary temat znaczyłoby to sprzeciwić się tradycji wszystkich felietonistów.

W tym roku jeszcze przybył nam nowy motyw, nadający się do dyskusji; przysporzyła go ogólna sytuacja. Oto w tych ciężkich czasach wystąpił ktoś z projektem zaniechania święconego w ten sam sposób, w jaki się ludzie wykupują od powinszowań noworocznych. Zamiast zachodów, trudów, kosztów około bab, szynek, kielbas, kołaczy i mazurków, zamiast zastawiania stołów i fetowania gości, proponuje ów ktoś złożenie datku na ubogich.

Oszczędność i filantropia mają zyskać na tem.

Nie przeczę, ale straci zwyczaj, który nie same kulinarne i gastronomiczne miał za sobą względy. Nie chodzi mi o szynkę, ani o ruladę z prosiaka, choćby ją własnymi rękoma przyrządziła autorka 365-ciu obiadów; ale żal mi zwyczaju dawnego, który w pewnych chwilach skupiał, zbliżał, rozgrzewał ludzi — nie chciałbym dla cnoty miłosierdzia poświęcać zupełnie cnoty gościnności.

I tak coraz więcej żyjemy w odosobnieniu, rozsypujemy się, jak suchy piasek, niby-to skupiony, a jako ziarno, nie lgnie do drugiego.

Rozumiem, że wystawność i marnotrawstwo, są ciężkim grzechem w naszych warunkach, że się należy ograniczać do *minimum* we wszystkim; ale nie stanowi to jeszcze, abyśmy w imię oszczę-

dności, pozbywali się zupełnie pewnych tradycji które nie w samym żołądku miały swój początek

Nie trzeba posuwać się zadaleko.

W tym roku zniesiemy święcone, w przyszłym wilią, potem imieniny: i tak dalej krok za krokiem z najszlachetniejszych pobudek pozbedziemy się wszystkich zwyczajów, które w codziennym i towarzyskim naszym życiu stanowiły ważniejszą, niż przypuszczaliśmy, rubrykę.

Nie, to nie jest droga dobra i konieczna. Unikajmy tylko przesady we wszystkim, nie żyjmy nad stan, nie pozwalajmy sobie zawiele, ale i nie odmawiajmy sobie zawiele. O biednych i głodnych pamiętać powinni syci i zamożni bliźni: to obowiązek i ludzki i obywatelski; czyż wszelako dla tego mamy się wyrzekać „święconego jajka,” czy naprawdę nie wystarczy nam i dla nich, i dla siebie w tym dniu uroczystym, w dniu ogólnej radości i zbliżenia serc i dłoni, kęsa bielszego chleba i słodsze ciasta?...

Tak źle, tak bardzo źle, nie jest jeszcze, abyśmy starego, dobrego ojców naszych zwyczaju mieli się zapierać. Nie przeciągajmy tylko naszych stołów drogimi lakociami, nie piętrzymy pod sufit baumkuchenów, nie marnujemy marcepanów i nie zachwycajmy smakoszy i darmożjadów wymysłami potrawami, ale „święconego” zupełnie nie zarzucajmy, nie zamykajmy drzwi przed życzliwym gościem, sąsiadem i przyjacielem, który w dniu tym przyjdzie z cieplejszym uściskiem ręki, z gorętszym słowem na ustach życzyć nam „wesołego Alleluja.”

Zapewne, że tu i owdzie nie obejdzie się bez nadużyć: ludźmi jesteśmy, ludzką ułomną mamy naturę, lecz mniej z pewnością stracimy na zachowaniu, niż zyskamy na zaniechaniu gościnnego zwyczaju.

Nie wierzę ja także w tę życzliwość i przyjaźń ludzi, którą się „czapką, papką i solą” zdobywa; ale byłoby już bardzo smutno i źle na świecie,

gdybyśmy przypuścić musieli że tem tylko ją się zdobywa i utrzymuje.

Niechże wam święta przejdą zdrowo i wesoło w gronie rodzinnem, w kole przyjaciół, znajomych, przy wspólnym stole, na którym biały baranek z czerwoną chorągiewką będzie symbolem zmartwychwstania, i niechaj przy święconem nie samo ciało się pokrzepi, ale i duch rozraduje w atmosferze ciepłej, swojskiej, życzliwej, w atmosferze gościnnej polskiego domu!

Wiosna tak pięknie uśmiecha się nam z nieba, jakby chciała wyrugować z pamięci wszystkie wspomnienia ostrej zimy.

Zanosilo się, na nieszczęście, na katastrofę, na powódź, i jakoś złe poszło bokiem, ominęło nas łaskawie; Wisła pokornie i cierpliwie zniosła do morza wszystkie kry i roztopy, nie szarpiąc brzegów ze wściekłością zeszłoroczną.

Ziemianie patrzą w pogodne niebo i na run zieloną — z uśmiechem na ustach, a otuchą w sercu.

A nuż będzie lepiej w tym roku?

Warszawa jeszcze sezon zimowy przedłuża ponad zwyczajny termin, jeszcze urządza rauty i koncerty i odczyty; filantropia korzysta z tego i gdzie może zbiera grosze do jałmużniczej skarboxy.

Zaledwie Brandes zeszedł z mównicy publicznej i skończył swoje prelekcje o romantyzmie polskim, z których połowę dochodu przeznaczył na schronienie dla nauczycielek, zajął jego miejsce p. Leopold Janikowski, towarzysz Rogozińskiego i s. p. Tomczaka w wyprawie naukowej do Afryki.

Warszawa rok w rok miewa swoje gwiazdy, które się szczególnie zajmują i które wprowadzają nie przez teleskopy, ale przez lornetki obserwować zwykła; do takich gwiazd należeli w ciągu ubiegłej zimy Brandes i Janikowski. Pierwszego już znano z zeszłego roku; drugi po powrocie z dzikich krajów stał się osobliwością naszego towarzystwa, osobliwością narażoną na umęczenie wśród białych bliźnich w nagrodę za to, że wyszedł cało z lamparcich pazurów, ze słoniowych kłów i z rąk Murzynów Kameruńskich.

Rozrywano go po salonach, kazano po sto razy odpowiadać na jedne i te same zapytania; Afryka stała się w tym sezonie modniejszą nawet, niż w zeszłym Dania na intencję Brandesa.

Fotografie dzielnego turysty w białym, zgrabnym kostiumie, w butach palonych, z dużym hebanowym kijem podróżniczym w ręku, w hełmie płóciennym na głowie, znalazły się w każdym albumie.

Oztery odczyty o wyprawie afrykańskiej zgromadziły w sali ratuszowej dość okazały zastęp słuchaczy; dochód z nich znowu zasilili kasę Schronienia i Towarzystwa pomocy dla ubogich matek, oraz ich dzieci.

U nas już tak, nie darmo; nie wolno być znakomitością, ani osobliwością sezonu, nie wolno przyjechać w odwiedziny z Kopenhagi, albo wrócić z zamorskiej wyprawy, aby filantropia nie ściągnęła swojego haraczku. Kiedy się jest znakomitym człowiekiem nauki lub talentu, trzeba opłacać tę znakomitość pewnym podatkiem na cele publiczne.

Brandes i Janikowski czy Mierzwiński, Kochańska czy Modrzejowska za przyjazdem do Warszawy musieli poddawać się temu, jak tylu innych przed nimi i tylu innych po nich poddawać się będzie.

Jest to z jednej strony natręctwem filantropii, z drugiej do pewnego stopnia koniecznością naszych stosunków. Te wszystkie dobroczynne instytucje i towarzystwa, muszą z czegoś ściągać fundusze, same dochody od członków stanowią zwykle najniższą i najbardziej ryzykowną rubrykę; pozostaje publiczność, od której nadzwyczajnymi środkami tylko daje się uzyskiwać zapomoga przygodna.

Dla samego celu, dla zrozumienia obowiązków obywatelskich i humanitarnych, publiczność warszawska nie lubi robić ofiar; ona chętnie złoży swój datek, ale potrzeba jej za to sprawić jaką niespodziankę, lub przyjemność, potrzeba coś koniecznie pokazać, bo to duże zbiorowe, dobre choć kapryśne często dziecko, lubi więcej patrzeć i dziwować się, niż słuchać w skupieniu ducha

i uwagi. Dlatego „opatrzeni-już“ prelegenci, koncertanci, amatorzy nie miewają u nas powodzenia.

Nowość tylko popłaca i moda.

Jednym z najszcześniejszych i najmiej widzianych gości na prelegentkiej katedrze w Warszawie jest prof. Stanisław Tarnowski, który ma tę zręczną politykę, że się stosuje do przysłówia znanego: „gdzie cię chętnie widzą, bywaj rzadko.“ Obecnie po długiej przerwie zapowiedział swój przyjazd do Warszawy pod koniec bieżącego miesiąca w celu wygłoszenia trzech odczytów o literaturze naszej z epoki Batorego; dochód przeznaczył na Towarzystwo Osad Rolnych, a z góry przewidzieć można, że sala będzie od góry do dołu natłoczona.

Świetny orator wśród krytyków czarować znowu będzie swoją wymową pełną dystynkcji salonowej; przez dwa tygodnie po wszystkich salonach i salonikach rozmawiać będziemy tylko o literaturze polskiej o Batorym i hr. Tarnowskim, dopóki wiosna swoim chorałem zbudzonej przyrody całej nie zagłuszy ostatnich ech zimowego sezonu.

Ta wiosna bywa najwymowniejszą prelegentką, bo wykłady swoje ilustruje cudownymi experimentami, a człowiek słucha ich sobą całym.

Nie znam takiego nektaru, któryby mnie więcej odżywił i pobudzał, jak technienie dziewiczej wiosny; nieraz posyłałbym pocałunki słońcu i ziemi, gdyby to na exaltację i przesadę nie zakrawało. Zdaje mi się, że wśród głosów całej przyrody powtarzam w zachwyceniu śliczny wiersz Gomułickiego:

Upoiło mnie dziś wino wiosny i młodości...

A w tem upojeniu ściszałbym i poetę, co tak serdecznymi tonami spiewać umie, i świat cały dokoła, i wszystkich skwaszonych śledzienników, którzy zukosa patrzą nawet na czarowną wiosenkę. Zdaje mi się, że jestem lepszym, kocham więcej ludzi, wierzę silniej i czuję głębiej...

Czy wy tegosamego nie doświadczacie?...

W taką szczęśliwszą chwilę duchowej pogody, wpada mi w ręce mała broszurka o koloniach letnich dla biednych słabowitych dzieci, napisana przez d-ra Gustawa Fritsche'go i nie wiem, czemu właściwie przypisać: czy upojeniu wiosennemu, czy samej treści, że przeczytałem ją z jakimś błogiem rozrzewnieniem.

Jakże nie cieszyć się tem, że są ludzie, co drugim tyle dobrego robią, a robią cicho, bez rozgłosu, bez reklamy!

Oztery lata z rzędu urządzano już wakacyjne osady, a najlepszym uznaniem dla instytucji, która nam zaszczyt przynosi, jest stopniowy i bezustanny ich wzrost; kiedy bowiem w pierwszym roku t. j. 1882, zebrano rs. 1536, za które wysłano tylko 52 małych na wieś, w roku zeszłym udało się uzyskać od osób dobroczynnych fundusz rb. 3,813, urządzić pięć kolonii wakacyjnych w Ciekosynie, Jadowie, Żelechowie, Janowie i Kazimierzu i przenieść tam 124 chłopców, oraz 80 dziewcząt podczas zeszłego lata.

Jakąż wdzięczność i uznanie budzą te rezultaty dla d-ra Fritsche'go, głównego inicjatora i gospodarza tych osad, dla ofiarodawców hojnych, wreszcie dla owego grona dam, które w ciągu zimy zajmowało się szyciem bielizny sukienek i ubrań dzieciennych, a nie pozwoliło nawet nazwisk swoich wymienić w sprawozdaniu!

Śmierć jednej z głównych protektorek, rozwiązała usta d-rowi Fritschemu, który dopiero teraz nad świeżym jej grobem mógł odsłonić zasługi skromnej a cichej dobrodziejki małych kolonistów; była nią świętej a nieodżałowanej pamięci Teressa Russanowska.

„Szlachetne czyny zmarłej — powiada dr Fritsche — znane są całej Warszawie, a zaraz po jej śmierci niejednokrotnie skreślono żywot ten pełen zasług i poświęcenia dla drugich. W żadnym z życiorysów jej jednak nie wspomniano o tem, jak usilnie i skutecznie popierała ona sprawę kolonii letnich. Składki energicznie wśród znajomych swoich zbierała i do ofiar zachęcała, a *właśnie* z materiału przez siebie zakupionego

szyla po 30 sukienek dla młodszych i starszych dziewcząt, nie licząc innych drobnych ofiar w naturze, jak chustki do nosa, pończochy, kołnierzyki etc. Przy tem interessowała się losem niemal każdego wysłanego na kolonie dziecka, najdokładniejsze sprawozdania musiała mieć o wszystkim co się do tej kwestyi odniosło. Nigdy nie *pozwołała wymienić* swojego nazwiska i groziła, że się odsunie od wszelkich zajęć filantropijnych, a było ich bardzo wiele, jeżeli ją ktoś w druku zamiesci. Dzisiaj, kiedy śmierć nagle i niespodziewanie kobietę w sile wieku i w pełni zdrowia z posród nas wyrwała, pozwalam sobie zaradzić tajemnicę i uczcić pamięć tej zacnej Podolanki, której nam już nikt zastąpić nie może. Cześć i chwala kobiecie, która tak szczerze pojmowała obowiązki swoje względem społeczeństwa i która tak umiejętnie i pożytecznie je spełniała!“

Wśród szczególniejszych opiekunek i dobrodziejek kolonii letnich sprawozdanie wymienia p. Waleryą Trzetrzewińską z Janowa i p. Watson z Jadowa; ich ofiarności i pomocy zawdzięczać należy znaczne zmniejszenie kosztów utrzymywania jednego dziecka, które w roku zeszłym przecięciowo wynosiły przez cały sezon tylko rs. 17 kop. 26, czyli znacznie mniej, niż w latach poprzednich.

Pierwsze promienie wiosennego słońca przypominały d-rowi Fritsche'mu instytucję małych osadników; wcześniej też zaczął kołatać do litosciwych serc z dobrą nadzieją, że tegoroczne ofiary przewyższą jeszcze wszystkie poprzedzające.

Oby ta wiara go nie zawiodła a rezultat równie świetny jak w roku zeszłym nagrodził trudy i szlachetne starania; to tak błogo widzieć, że dobra chęć i zająca praca przyniosły pożytek drugim,

Quis.

JÓZEF BOHDAN ZALESKI.

(Dokończenie).

W szkołach młode, trzynastoletnie chłopię spotyka się ze szlachetnie podniosłym nastrojem ducha, który ożywił tak nauczycieli, jak uczniów, gorącym pragnieniem podniesienia oświaty w kraju, ważnością, jaką miała nauka. Po ciężkim okresie walk, który zostawił po sobie zgłiszczona i ruiny, rzucono się do pracy i zabiegów innych: chciano wynieść na ląd barkę pomysłowości ojczyściej siłą rozświeconych umysłów i trudem myśli poważnej. Zapal do nauki pannał też tak tu, jak w szkole krzemienieckiej, w uniwersytecie wileńskim, dalej w kolegiach pijarskich i młodzież garnąca się do światła, jako do dorobku społecznego, żyła ze sobą w ścisłym koleżeństwie, w braterstwie ścisłym, jak poeta maluje to potem w lat wiele (Duch od Stepu).

„Jako zwrotki swojej pieśni
Pieśni żywej — w dłoniach płonie...“

Seweryn Goszczyński i Michał Grabowski, to najbliższe druhy Bohdana. To, co potem objawiło się w nich talentem pisarskim, już podnosiło im pierś i łączyło ze sobą nastrojem poetycznym. Bohdan i Goszczyński już piszą wiersze: dymy klasyczne, tłómaczą ody Horacyusza i przesyłają je do *Dziennika Wileńskiego*, który je drukuje. W 1820 r. wszyscy trzej przybywają do Warszawy, do uniwersytetu, i wykłady Brodzińskiego oddziaływają silnie na Bohdana. Studya nad poezją ludową, z któremi się tu spotyka, potracając o drzemające mu w piersi wspomnienia, i struny uczucia, naciągnięte na harfie jego serca, zaczynają się odzywać, wydając najśłodsze, najtkliwsze, najpięściwsze dźwięki, jakie kiedy słyszało ucho ludzkie. Kolorysta nieporównany, oryginalny w formie, cudownie się nadająca do skali i zakresu jego uczuć, czarować

może, a nawet czarować musi każdego, nieznaną przed nim dźwięcznością słowa i nutą, która mu zyskuje nazwę słowika ukraińskiego. To, co Mickiewicz zawołał w wiele lat potem w Paryżu: „Słowiku mój! a leć, a piej...” wyrwać się musiało życzeniem niekłamaniem na usta każdego z czytelników poezji Zaleskiego w okresie warszawskim, który jest okresem największej i najdoskonalej poetycznej jego twórczości, gruntującej jego sławę i dającej mu miejsce bliskie obok największych poetów naszych.

Jest też to chwila jego rozkwitu z pączka młodości w pełny kwiat męskiego życia, talent jego znajduje już sobie odpowiedni mu wyraz i tworzy oryginalnie. Romantyzm, który wtedy po ostatniej walce z klasycyzmem zapanowywał w Warszawie, nadaje się szczególnie do rodzaju twórczości Bohdana i jakoby podaje rękę temu, co poeta nosi w sercu i umyśle przez nagromadzone tam uczucia i myśli, a zasada estetyczna niemieckiego poety, że musi zniknąć w życiu, co ma powstać w poezji, pełni się na nim. Ukraina z naturą swoją bujną i malowniczą, ze swymi mogiłami i podaniami o nich, z zawiewającym już tam tchnieniem Wschodu—gorącym sercem młodego ukochanego, przez gorącą siłę wyobraźni poety malowane miejsca rodzinne, pięknieją mu czarownie we wspomnieniach, w obrazach, uniesionych przez pamięć, i świat, pozostały już w tyle po za nim, objawiać się mu jako ideał w nieporównanych pod względem muzyki słowa i tęczy barw dumkach, szumkach, wiośniakach, w przeslicznej fantazji *Rusalki*, na których tytułowej karcie pisze, jako godło dwuwiersz poprzednika romantyzmu, Brodzińskiego: „Trzeba, chcąc czucie rozszerzyć, tworzyć bóstwa i w nie wierzyć.”

Jego serce, jego dusza cała pełną była najpodnioslejszych, najczystszych bóstw poezji, od których świętość szła mu w pierś, a on ją z kolei rozdawał innym: szczere złoto uniesień szlachetnych. Któż przez kilka pokoleń, które szły po nim, nie umiał na pamięć przepięknego epilogu *Rusalek*: „do przyjaciół!”

Świeć się, świeć się wieku młody!
Śnie na kwiatach, śnie mój złoty,
Ideale wiary, cnoty,
I miłości i swobody!...

Przyjaciele grają i w tym peryodzie czasu, między 1820, a głównie: między 1823 a 1830 r., ważną rolę w historii jego ducha „Co dusz czystych—w siebie chłonie.” Między tymi, których Bohdan wchłoniął w swoją istotę poety, był Maurycy Mochnacki, Galicyanin z pochodzenia, umysł śmiały i rzucający się wyniosłe naprzód, dusza namiętna i gorąca, a że stosunek ten musiał niewątpliwie być bardzo ścisłym związkiem dwóch młodzińców świadczy to, co Zaleski sam napisał, jako objaśnienie do wiersza *Zaduma i Nokturno*, w którym odzywa się do blizkiego mu też w owych czasach, i potem na obczyźnie zawsze sercu miłego Stefana Witwickiego, poety także. Jak kiedyś pisał: „Bohdan, Seweryn, Michał—między nami trzema odgrywa się niejako osobne poema”, tak teraz można tylko podłożyć pod wiersz pierwszy niby nutę zmienioną: Bohdan, Stefan, Maurycy... bo i teraz odgrywało się z uczuciem serce trzech młodzińców szlachetnych wzniosłe i piękne poema. Mochnackiego znał Zaleski już dawniej, w „związku młodzieży uniwersyteckiej”, ale dopiero około 1825 r., dusze ich związały się ze sobą ściślej, bratnio, i gdy dnie są zajęte pracą na chleb powszedni, bo Mochnacki był urzędnikiem w Komisji Sprawiedliwości i pracował w „Kuryerze Polskim”, a Zaleski trudnił się nauczycielstwem—dopiero noce mogły ich gromadzić razem i wtedy, aby rozprawiać, marzyć, dusze sobie wzajem z piersi do piersi przelewać, wybiega trójka przyjaciół nad brzeg wiślaną, to na Bielany, to na Powązki, gdzie im ubiegało „wiele, o wiele nocy miesięcznych.” Należał do serdecznego tego bractwa i Szopen, wtedy jeszcze „młodziuchny, weseluchny” zwany też przez nich starszych Szopenkiem. U niego przesiadywali również noce, które im czarował grą swoją.

I Mochnacki był muzykiem, a nawet talentem niepospolitym, jak Zaleski w zacytowanym wyżej objaśnieniu pisze, ale „nowa poezja, nowe rozbujane fale ducha porwały go w swój wir.”— „Zabrakło mu czasu i cierpliwości” na muzykę i odpowiadał przyjaciółom: „co innego dziś nosimy w umyśle i w sercu.”

Więc Mozart i Beethoven musieli temu miejsce zrobić, i bywały też inne jeszcze bezsenne noce nie na muzyce spędzane, nie słodkimi jej tony kołyszące—noce przegadane gorąco, namiętnie aż do rana, noce, wśród których młode zapaleny unosił się snadź tak żywo, że głos już się miarkować nie dawał. Mochnacki mieszkał koło Paulinów, dwa okna jego pokoju wychodziły na przestrzał ku rogowi ulicy Długiej i Freta, gdzie był dom Lelewela, lecz i tam nie używano wygodnie nocnego wczasu. „W oknie Lelewela lampka wieczyste błyska” pisze Zaleski we wspomnianym już Nokturno i dodaje w objaśnieniach: „Ile razy zaciętrzewiliśmy się w rozmowie do poranku, brzęk szyb z przeciwnika opamiętywał nas—p. Joachim zdaleka palcem groził.”

„Brodzińskiego ploszyliśmy także nieraz w nocnych przechadzkach na Powiślu. Starsi wiekiem, poważni profesowie: Lelewel, Brodziński, acz obydwa nie potakiwali marzycielstwu i rozgorzałstwu młodych, byli dla nas z poważaniem i miłością. Pod ich niejako błogosławieństwem rośliśmy i hodowaliśmy się w Warszawie.”

To też po takiej młodości pełnej zapału i bujnego życia uczuć, mógł poeta w wiele, w wiele już lat potem gdzieś daleko odezwać się do starożytności i lat i prac dawnych towarzysza (Żegoty Domejki).

Zaprawdę! nigdy my nie będziemy starzy,
Dopóki pijem z owej żywej wody,
Odmładzającej ludzi i narody...

Po wypadkach z 1831 r., Zaleski udaje się do Francji, do Paryża. Jest z nim Stefan Witwicki, jest Stefan Zan, Cezary Plater. Wkrótce przybywa temu kółku Mickiewicz (1832 r.), a choć obojście nie zna się z Zaleskim, już ich tak łączy braterstwo uczuć i myśli, braterstwo poezji, że Mickiewicz, wysiadłszy z dyliżansu, którym wtedy przebiegać się trzeba było z kraju do kraju przybywa wprost do pomieszkania Zaleskiego w towarzystwie Lelewela i odtąd zawiązuje się między nimi przyjaźń nierozrywana, aż do grobu, która przechodzi czcią miłosną na syna Mickiewicza, bo oto ten syn (Władysław) czuł wraz z dziećmi konającego poety przy jego łóżu śmierci. Przyjaźń ta pozostała zawsze wierną i stała wśród zmiennych kolei losów podtrzymywana wzajemną sympatią, zadzierną się odrazu w wczel silny. Przez trzy lata następne dwaj poeci żyją ze sobą niemal jak bracia, dzieląc chleb i sól, mieszkając nieraz w jednym pokoju, a wysoko religijny nastrój ducha Mickiewicza wywiera swój wpływ na Bohdana. Działał on podobnie i na innych, wśród wiru Paryża i obcych jego żywiołów potrzebowano jakiejś spójni, aby się nie odbić od siebie i nie rozpruszyć, nie pogubić w tłumie cudzoziemskim, i w 1834 r. Mickiewicz zawiązał bractwo: „Braci Zjednoczonych”, aby religii, wyniesionej z kraju na obczyźnie nie zatracić i współtowarzyszy w niej utrzymać. Zawizek tego bractwa tworzyli, Antoni Górecki, Witwicki, Cezary Plater, Ignacy Domejko, Zaleski Bohdan, i Zaleski Józef, bynajmniej nie jego krewny, ale niemniej serdecznie z nim związany: „brat ślubny”, jak Bohdan o nim w objaśnieniach do poezji swoich pisze. Spowiadano się i komunikowano razem przy akcie zawiązania się bractwa, którego dalszym ciągiem, zawsze pod działaniem jednej myśli doskonalenia się, trzymania się duchem wysoko swojsko, był towianizm, który pochwycił w mistyczny swój obład Mickiewicza, i wraz z nim wiele niepospolitych, szlachetnych osobistości, jak Słowackiego. Zaleski przecież oparł się temu smutnemu zawrotowi, jakkolwiek i serdeczny stosunek z Mickiewiczem, i nastrój umysłu własny mogły go czynić do tego

skłonny, bo te dwa uczucia, które nazywał dwiema prądkami ludzkiego żywota: miłość i tęsknota, potęgowały w nim coraz gorętszą, żywszą religijność, przechodzącą w ascetyzm.

W 1835 r. Zaleski rzuca Paryż i wraz ze ślubnym swym bratem Józefem, wyjeżdża nad Ren do Alzacji, gdzie zamieszkują lata całe wśród wąwozów wozekich pustelni, Robertsau, Molsheim, i gdzie Bohdan pisze w 1836 mistyczny swój poemat: „Duch od stepów.” Duch ten każe słodkiemu śpiewakowi miłości i natury, śpiewakowi o słowiczych tonach, odjąć palce od strun ukochanego teorbenu i przenieść je jakgdyby na lutnię psalmisty. Wśród ciszy i kontemplacji ma on widzenia przedcielesnej swej przeszłości: rajskiego życia człowieka przed upadkiem—przed podniesieniem się jego pychy przeciw Duchowi Bożemu przez spożycie owocu z drzewa wiadomości złego i dobrego. Ale tęsknota pędzi ich dalej, do Włoch, do Rzymu; ztamtąd wracają znowu do Francji, na której krańcu przeciwnym w Prowansji szukają, jak poprzednio pustelniczej samotności i osiadają w wiosce Endoume, wśród skał nadmorskich. W 1838 r. przenoszą się pod Paryż do Sèvres, ale i tam im źle: puszczają się do Szwajcarii, w 1840 przybywają do Lozanny, gdzie Bohdan znajduje Mickiewicza „odmłodzonym, wypogodzonym na ducha” i jest oczarowany jego wykładami literatury powszechnej, której katedrę wtedy zajmował. Zalescy nie mogą przecież utrzymać się tu długo, mimo, że Bohdan jest zawsze w najtkliwszej przyjaźni, w najtkliwszym „obcowaniu z duchem” Mickiewicza. Jadą do Francji, osiadają w Burgundii, w Beaune. Mickiewicz to koczownicze ich życie nazywa „puszczaniem się na czumactwo”, aż w Sierpniu 1841 otrzymuje od niego Bohdan list, zaczynający się od wyrazów: „Bohdanie! skoro ten list przeczytasz, padnij na kolana i dziękuj Panu! Wielkie dzieła się rzeczy...”

„Śpiesz zaraz, zaraz, zaraz, aby serce sobie pocieszył, rozradował, okwiecił, ozienił. U mnie w domu kwiaty i wiosna—i w sercu i w duchu!”

Pisać więcej „nie wolno” mu i tylko przyzywa ukochanego druha znaną piosenką radosną:

„Słowiku mój! a leć a piej!
Na pożegnanie piej,
Wylanym łzom, spełnionym snom,
Skończonej piosnce swej...”

Ten koniec piosnce i łzom—to było nieszczęsne spotkanie się poety z Towiańskim. Mickiewicz stał wtedy na najwyższym szczyśle chwały. Wezwany do Paryża na nowo utworzoną katedrę literatury sławiańskich, porzucił Lozannę, aby zająć w Paryżu możliwie najzaszczytniejsze dla cudzoziemskiego pisarza stanowisko, wejść w grono najszlachetniejszych, najwyższych w świecie nauki postawionych mężów Francji, stać się ich współtowarzyszem i przyjacielem, gdy nagle przybywa człowiek nieszczęśliwej pamięci i wszystko to rozwiewa się i pada o ziemię. Tragiczny to moment w życiu Mickiewicza; Zaleski opiera mu się na szczęście i choć w pierwszej chwili wykrzykuje w hymnie radosnym: — „Hosanna” potem—przecież cofa się i nie przyjmuje posłannictwa nowego proroka, on, który w sercu nosi już ewangelię Chrystusa.

Brat ślubny, stary żołnierz, człowiek na dawny sposób, jak „Sodalis Marianus” przy wierze stojący, podał mu rękę pomocy i obronił go od mistycznego obłąkania. Stosunek z Mickiewiczem już się oziębia, choć trwa jeszcze, ale już nie jest tem dawnym zespoleniem serc i dusz, w którym wszystko aż do wizji marzycielskich było im wspólne, jak Zaleski w objaśnieniach pisze: „W Lozannie i w Fontainebleau, (gdzie Zaleski mieszkał lat wiele, właśnie wówczas, gdy Mickiewicz z Lozanny do Paryża zawezwany został), przeżyłem z Adamem Mickiewiczem, bogdaj najmielsze chwile. Zestroił się ze mną w duszach doskonałą miłością. Obydwa mieliśmy widzenia, sny, dużo natchnień, które przebrzmiewały bez śladu w improwizacjach.”—Mickiewicz niemniej też tak odczuwał owo „zestrojenie się” ich duchów, że jeszcze w Lozannie (7

Stycznia 1840 r.), dostawszy od Zaleskiego przesłany mu w liście jakiś wiersz „senny” podobny treści do ustępu, który on zaczął pisać do pierwszej części *Dziadów*, lecz niedokończywszy rzucił, bo „inspiracja opuściła” go, przypuszcza, czy oni obaj nie mają danego sobie jednego natchnienia?

„Kto wie czy ty teraz nas nie okradasz przez sen z wszelkiej poezji? Kto wie czy mocą silniejszą nie ciągniesz do siebie całego ciepła i światła poetyckiego?” — pisał do Zaleskiego w liście zwrotnym, a nie jest to myśl przelotna, bo spotyka się ona o wiele później, już kiedy jest w Paryżu i właśnie swoje wykłady w *Collège de France* rozpoczyna i do Zaleskiego do Fontainebleau pisze na drugi dzień po swoich imieninach. Dziękując za wiązanie: garnek rydzów z lasów fontenebloskich, dalej pisząc o lekcji swojej, i wrażeniu, jakie wywarło: — „Francuzom, jak się dowiedziałem bardzo się podobają” zakończy opisem sutej wieczery u Eustachego Januszkiewicza, na której był w wilią. „Wyzwany przez Słowackiego improwizacją, odpowiedziałem z natchnienia, jakiego od czasu pisania *Dziadów* nigdy nie miałem. Było to dobre, bo wszyscy ludzie różnych partii rozplakali się i bardzo nas pokochali — i na chwilę napełnili się wszyscy miłością. W tę chwilę duch poezji był ze mną. Chciałbym wiedzieć coś ty wczora robił i co myślał — bo mnie się zawdy widzi, że my we dwóch tylko jednego ducha mamy, i że w jednym czasie nie możemy być poetami na ziemi. Bo choć duch jest wieczny, ogranicza się czasem, kiedy się w nas wciela.”

Zostawiając na boku, co tu jest nieszczęśliwą chorobą duszy Mickiewicza: zaczynającym go już opanowywać wizjonerstwem mistycznym, dowód to jak wysoko cenił on Zaleskiego i jak ściśle był związek dwóch poetów. To też do śmierci tkwił w duszy Zaleskiego żal po tym „bracie po lutni” i jest ślad w poezji „*Angelus*” napisanej już w późnych latach Zaleskiego, jak potrzebnym mu on był dla rozbudzenia twórczości, dla sprowadzenia mu poetycznych natchnień. Dzwonienie na *Anioł Pański*, usłyszane po wielu latach w tym samym lesie Fontainebleau, gdzie niegdyś (1841) z tym drogim mu druhem ręka w rękę błądził, przypomina mu, jak zstępował wtedy razem na nich obydwóch „*Anioł Pieśni*.”

Nucąc ojczystą dumę po cichu,
Brnęliśmy między wrzosa, paprocie;
Słońce, jak dzisiaj lśniło w przepychu,
Jak dzisiaj drzewa kąpało w złocie.
W tem tys Aniele jasnovidzenia,
Ponad głowami przemknął naszymi;
Wskroś promieniący — geśl u ramienia,
Bliżej i bliżej wiałeś ku ziemi.
W olśnieniu znikła nam z oczu pustynia,
Tys czoła skrzydłem omusnął miękkim;
W mig napełniłeś oba naczynia
I dziwnym umem i dziwnym dźwiękiem...

Obaj w cudownym widzeniu oglądali daleko po
za niemi pozostałe miejsca: odkrył się przed niemi
„wzdłuż obszar siny.”

I przemienieni cudownie druchy,
Głos w głosie Pana my pieśń rozbrzmieli;
Pieśń swoją — wielkiej, świętej otuchy
Któręś wtórował geślarzu w bieli!

To też gdy pozostał sam jeden „z Bożego zaciągu pieśniarzy” — gdy przez towianizm, który się stał wkrótce sekta, nastąpił między nim a Mickiewiczem rozdział duchowy — żal, silnie uczuty, znów go popycha do błądzenia po świecie. W 1842 wyjeżdża z bratem Józefem na Wschód do Ziemi Świętej i owocem tej podróży jest poemat „*Przenajświętsza Rodzina*” rzecz przesłiczna, pełna poetyczności i niewysłowionego wdzięku, który płynie ze szczerej, prostoty wiary i nieklamanej wzruszenia, jakim przejmują poetę widok miejsc wśród których Chrystus żył i cierpiał. Przy barwności poetycznego słowa Zale-

skiego są to jakby obrazki średniowieczne, malowane w inicjałach mszałów złotem, lazurem i purpurą. Czuć, że poeta tajał sercem pobożnie, że miał duszę pełną upojenia świętościami, które go otaczały, gdy przyzywał z cieniów przeszłości postaci, przed którymi się korzył, ale z którymi niemniej duchem przebywał. Odmalował ten stan uczuć pisząc:

„Rozkosz najwyższa, najrzadsza na ziemi —
Rozradowanie serc między Świętymi...”

Poemat ten, ofiarowany niewiadomym przyjaciółkom poety: „duszą siostrzaną *F...* i *D...*”, zamknął na długo twórczość Zaleskiego. Nie pisze, nie drukuje teraz nic; od 1842 r., niesłyszając dźwięków jego liry a serce jego jest smutne, bo rozluźniły się węzły dawne braterskiego związku, trzymającego na obczyźnie we wspólności serdecznej garść ludzi, potrzebujących się wzajem, aby się podparć sercem o serce. W 1846 r., Zaleski wyjeżdża znowu do Alzacy, w Wogezy, gdzie u Trapistów na Oelbergu modli się, była to boleść po galicyjskich okrutnych wypadkach, która go pędziła w najposępniejsze, w najgłuchsze miejsce, jakie mógł znaleźć dla zamknięcia się zdala od ludzi z myślami swymi i Bogiem. Ale życie, póki nie wstąpi wokres zgrzybiałości, jest ciągłą przemianą i rodzeniem się w nas innego człowieka; nie ma, bez śmierci ducha, zkamienienia w jednej boleści — szukamy z niej wyjścia, aby nie utracić żywotności ducha i oto w 1848 r., znajdujemy Zaleskiego znowu w Paryżu. Kocha, jest wzajem kochany, żeni się z młodą Warszawianką uczennicą Szopena, Zofią Rosengardtówną i teraz unosi swoje szczęście w poetycznie pięknej samotni nad brzegiem Śródziemnego Morza, przepędza w Hyères miodowy miesiąc swego życia.

W pierwszych jego poezjach młodzieńca opiewana Zoryna, Różyna, czyli Róża Z., była aż do tychczas jedyną postacią niewieścią, której ślad w życiu poety jest zaznaczony. Potem miała ona być mu przyjaciółką, drogą jego mężkiemu wiekowi, ale nie stanowczego, nie wyraźnego o tem nie wiemy i Zaleski jest ze znanych poetów jedynym, w którego życiu miłość, kobieta odgrywałyby tak małą rolę. Jeżeli było jeszcze coś więcej, nad to, co tu wspominamy, byłoby to chyba coś przelotnego, wrażenie raczej niż uczucie, więc do miejsca w historii jego życia nie mające prawa. Małżeńskie jego pożycie z żoną było szczęśliwe i spokojne; ubłogosławione gronkiem czworga dzieci. Zaleski nie rozstał się do śmierci, to jest 1864 r., z bratem swym ślubnym; co już samo starczy za dobre świadectwo dla tej, która została towarzyszką życia poety. Umiiała szanować jego ukochania i nie chciała samolubnie panować w jego istnieniu, dowód więc, że serce to było dobre i tklawe, kochające prawdziwie. Mieszkano w Fontainebleau do 1859 r., w którym przeniesiono się do Paryża, gdzie życie Zaleskiego stało się więcej ożywionem i mniej zamkniętem w sobie, z konieczności mniej ascetycznem, mniej zakonnem. Dom jego w Paryżu był licznie odwiedzany: chlebem, solą, dobrą wolą przyjmowano tu ludzi ucziwych, zwłaszcza rodaków.

Ale bolesne ciosy losu rozburzyły mu wkrótce to szczęśliwe, choć na obczyźnie, miłe gniazdo rodzinne. Śmierć brata Józefa była pierwszą tu żałobą, przecież starzec to już był i ojcę jego na odpoczynek wieczny leżało w porządku natury, ale w 1868 r. umiera gorąco kochana małżonka poety, i ta śmierć osamotnia go bardzo boleśnie. Gdy wydał córkę za Dra Aleksandra Okinczyca, sędziwy już poeta zamieszkał z niemi w Ville preux pod Paryżem. Córka umarła w trzy lata po wyjściu za mąż, ale zięć już go nie puścił od siebie, aż śmierć ich rozłączyła. Jak wiemy, Zaleski umarł w dziesięć dni po zgonie zięcia, którego strata przyspieszyła tę śmierć.

Ale obok tych wypadków zewnętrznego życia człowieka, snuje się nieprzerwanym ciągiem historii pisarza i poety, bo twórczość jego od pewnego czasu zatamowana miała swoje chwile, i ważne odzicia. Losy, rozwój Sławiańszczyzny zawsze

gorąco zajmowały poetę i gdy w 1848 r. znalazł się na sławiańskim jeździe w Pradze, zbudziło się w nim zajęcie silne pobratymczą poezją i powstał z tego cały tom przekładów z czeskiego, serbskiego i bułgarskiego języka, który w ostatnim wydaniu dzieł jego: „*Lwów i Warszawa*” tworzy tom III. Wkrótce potem drukował „*Pyłki*”, to jest zbiorek luźnych myśli, ale w chwilach życia, które sercem jego wstrząsały, w chwilach boleści, rozradowania, lub gniewu, lub wspomnień, przenikających mu serce, natchnienie wracało i poeta dawał się słyszyć. W 1866 r. drukował zbiór: „*Oratorium wieszczce*”, gdzie znajdujemy pewne zmiany i różnice, bo czas i życie musiało wycisnąć piętno swoje. Dymek i szumek ledwo parę, i temata stają się ogólniejsze, „*Słowik ukraiński*” przeistoczył się w poetę z zakresem uczuć i myśli gorących. Melancholia łagodna, ale głęboka panuje tu głównie, nastrój religijny, mistyczny nawet, przejawia się silnie, czuć też zesłabnięcia pewne, ale istniał w tem szlachetnem sercu zakątek jeden, gdzie siła uczuć była wiecznie młoda i żywa; nawet w peryodzie jego ostatniej twórczości znajduje się kilka poezji gorących i prawdziwie pięknych. Do ostatniego dzieła swoich wydania w 1861 r. dołączył kilka świeżo napisanych rzeczy i cenne objaśnienia.

Prócz strat drogiej mu osób, okrutnie zaciężyła nad nim ręka przeznaczenia, dotykając sędziwość jego ślepotą. Katarakta to była, nie dała się zdjąć, jak się zrazu spodziewano i prawdziwy lirnuk ukraiński — został niewiadomym.

Oczyrna duszy sięgał już tylko w ten świat swej młodości, który, „pożegnał nie wczora” i nie miał już „jutro obaczyć”. O Ukrainie pisał coraz mniej; czas zacierał wyłączości, co tak objaśnia: — „Po leciach, po leciach tylu ochłonałem dużo z dawnych zapalów kozackich, atoli po dziś dzień, ile razy zadumam się o młodości, ta fata morgana pojawiają się znowu żywo i wyraźnie”.

Umarł cicho, spokojnie, rano, o godzinie 6 minut 20. Gdy jasny dzień wiosenny zaczynał się dla naszego świata, on uszedł kędys daleko, że przecież zawsze czuł sercem Boga, że zawsze wierzył w Niego, śmierć musiała być dlań tylko odejściem na odpoczynek dobry po spracowaniu się ziemskiem.

M. Ilnicka.

BOŻY GNIEW

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Królowa wyszła sama z pismami w rękę i ulubioną swą śliczną wychowanicą, panną d'Arquien, do Strzębosza.

— Jedź natychmiast — rzekła mu. — Być może, iż króla na drodze gdzieś spotkasz. O to mi chodzi tylko, aby listy przed moim przybyciem do Warszawy otrzymał.

Tak niespodzianie wcale Dyżma znowu na koń musiał i w drogę. Przed tem jednak, własnego nie zapominając interessu, do Dominikanów rano pobiegł, aby tam lub powracającą pożegnać Biankę, która starą ochmistrzą miała za sobą, a ta Dyżmie rozmawiać z nią nie przeszkodziła, udając tylko, że nie patrzy i nie widzi.

Wprost od Dominikanów, dosiadł konia Strzębosz i puścił się w drogę, na której króla się spotkać spodziewał.

Jakoż drugiego dnia, jeśli nie na Jana Kazimierza, który dosyć powoli, po drodze przyjmowany przez senatorów, ugaszczających go, jechał

do stolicy, trafiał na stanowniczych, a ci zapewnili, iż król tegoż wieczora do wsi miał przybyć na nocleg. Radzono mu tu czekać na niego.

Wiesz ta Złotą Wolą zwaną, nie miała pańskiego dworu, bo tu dziedzic nie rezydował nigdy, ale probostwo było dostatnie; plebania przy kościele murowana, a że Jan Kazimierz pobożnym był, najchętniej też zawsze po klasztorach i plebaniach stawał. I tu mu przyjęcie u ks. dziekana gotowano.

Pozostał Dyżma na Woli, poszedłszy za radą stanowniczego, a był już wieczór i Dziekan się około kościołka krzątał, aby w nim dla króla klęcznik i poduszki przysposobić, gdy Strzębosz idąc za nim, w progu, spostrzegł siedzącego starca, którego sobie przypomniał, iż raz już w podróży z Krakowa do Warszawy, królowi się nastręczył i... w bardzo zły humor go wprowadził.

Zdawało mu się więc na dobie, postarać się o to, aby ów zuchwały pątnik Bojanowski, znowu króla swojemi prorocztwami i groźbami nie męczył.

Naprzód się więc z tem udał do dziekana, ale ksiądz, który zdawna bogobojnego staruszkę znał, wprost pośrednictwa odmówił.

— Jakimże ja prawem mogę zabronić pobożnemu pielgrzymowi — rzekł do Strzębosza — pozostać tu i bodaj się N. Panu stawić, jeżeli go Bóg natchnął ku temu? Mąż jest znany w całej Rzeczypospolitej, jako świętobliwy; nie mam mocy nad nim.

Dyżma, nie tu nie wskórawszy, sam poszedł do Bojanowskiego i pozdrowił go pochrześcijańsku. Starzec, który się modlił, nie odpowiedział mu nic, aż modlitwy dokończył.

— Z orszaku królewskiego jesteście? — zapytał potem.

— Czekam tu na N. Pana — odparł Dyżma — a wy?

— Ja? — odezwał się stary. — Ja? na nikogo nie czekam, ale też nie uciekam od nikogo...

— Króla ino nie widać? — rzekł Dyżma — oglądając się.

Nie otrzymał odpowiedzi.

— Mnie się zdaje — dodał Strzębosz — że ja was raz już widział, gdyśmy z królem z Krakowa powracali... Mówił z wami N. Pan... no — i bardzo potem długo był nachmurzony i smutny...

I na to Bojanowski nie odpowiedział nic.

— Myślicie znowu może z królem się tu spotkać? — zapytał Strzębosz.

— Nie wiem co Bóg zdarzy — powoli począł starzec — nie szukam go, ale uciekać przed majestatem nie myślę. Zdarzy Bóg, że król nadjedzie...

Poruszył ramionami.

— Nasz Pan powraca zwycięzcą — dodał Dyżma — nie zaniedbajcie go pozdrowić tem.

Milczał Bojanowski.

Spróbowałwszy napróżno raz i drugi coś ze starego pątnika wyciągnąć, Strzębosz w końcu, oniesmielony jego pogardliwym niemal milczeniem, precz odejść musiał.

Wtem od wsi na gościńcu poczęto się poruszać, i orszak Jana Kazimierza zbliżył się ku probostwu. Dziekan, w komży i stule, ze święconą wodą i kropidłem, z relikwiarzem w ręku, czekał na niego w progu.

Król wysiadł dosyć wesół i po krótkim przemówieniu, ucałowawszy relikwiarz, wszedł na probostwo; ale zobaczywszy u drzwi stojącego Dyżmę, natychmiast zawołał go do siebie i listy królowej chętnie pochwycił.

Nie rozpytywał o nie Strzębosza, tylko o zdrowie królowej.

Zapewnił Dyżmę, iż ją widział w najlepszym. Niedługo potem według zwyczaju swego, pobożny król, wyjrawszy oknem i postrzegłszy kościół blisko, natychmiast objawił chęć pomodlenia się przed obrazem N. Panny.

Prowadził go więc dziekan.

Bojanowski siedział na miejscu swoim. Zobaczywszy go i poznawszy, Jan Kazimierz trochę zwolnił kroku...

— Szczególna rzecz — odezwał się do plebana — raz drugi w życiu tego starca spotykam.

— Człek świętobliwy, pokutnik od lat wielu —

dodał dziekan. — Dziś tu przybył zrana, leżał krzyżem przez całą mszę świętą i suplikacye.

Szedł dalej król, a Bojanowski, który różaniec odmawiał i w rękach wychudłych paciorki drewniane przebierał, nie podniósł oczów, zdawał się wcale niewidzieć nadchodzących, ani ich też zaczepił.

Przeszli tak mimo niego: nie powstał; odetchnął swobodniej król i, w kościółku, przed N. Sakramentem ukląkszy, do bocznego ołtarza N. Panny podążył.

Tu go na modlitwie dziekan musiał pozostawić, bo tego żądał, a sam udał się na probostwo, aby zająć się przyjęciem. Strzębosz w kruchej też kląkł się pomodlić.

Dobre pół godziny trwało to króla nabożeństwo, poczem pokornie ziemię ucałowawszy, wyszedł. Na progu siedział jeszcze Bojanowski, ale paciorki mu już z rąk wypadły i głowę miał podniesioną.

Wahać się zdawał król, czy go zagadnie, lub przejdzie milczący, ale zdało mu się lepszym pozdrowić starego pątnika.

— Jeżeli się nie mylę — odezwał się łagodnie — drugi to raz już się spotykamy, ojcze.

— Drugi? — odparł Bojanowski. — O! nie, jam was już wielokroć razy w życiu mojem długiem spotykał... i widziałem wyrostkiem, a oto mężem ukoronowanym.

— Podziękujcie Bogu — rzekł król. — Łaska Jego i przyczyna Matki Najświętszej dały mi nad nieprzyjaciół zwycięstwo...

Bojanowski oczy w niego wlepił i patrzył długo.

— Za wszystko, co Bóg dał — rzekł — dziękować mu potrzeba, ale zbyt się wiktoryą chlubić i zwycięstwem cieszyć — słudze Bożemu nie przystało.

Zwycięzcą się głosicie? Bóg daj! lecz i siebie też a w sobie grzesznika zwyciężyć musicie, i pokornym być...

— Bogu też przypisuję wszystko — odparł król głosem znizonym.

— Z pobożowisk nową wojną wieje — począł, jakby sam do siebie, starzec. — Chmary stoją na kresach. Pogan nie pobiliście, aleście ich kupili. Nieprzyjaciół krzyża św. sojusznikami swemi uczyniwszy, cieszyście się. — Bodaj radość wasza w narzekanie się nie zmieniła!

— Bóg łaskaw — zamruczał Jan Kazimierz zmieszany.

— I mściwym też jest dla tych, co w grzechach trwają — mówił dalej Bojanowski. — Korcie się i kruszcie a poprawcie. Przed wami jeszcze wiele znoju i boleści, aż w końcu koronę zrzucicie... Bogu nie dotrzymawszy wiary, narodowi też jej nie dochowacie. Bóg z tobą! Bóg z tobą!

I jakby chciał już pożegnać króla, ręką w powietrzu znak uczynił, ale ostatnie słowa przykuły Jana Kazimierza do progu. Przypomniał sobie prorocztwo Józefa z Kopertynu — i strach go ogarnął.

— Módlcie się na intencją moją — dodał głosem słabym — módlcie się...

— Modlitwa wielką siłę ma — począł starzec — ale uczynki większą jeszcze. Żadna ich modlitwa nie zastąpi... królu mój... Płaczenie przed obrazami, a one na wami płaczą... bo godziny żywota twojego nierównie są i mieniają się białe a czarne... czyste i powalane, a królestwo kapłaństwa jest... i na świeczniku stoi pan... płamy z niego na naród padają.

Bóg z tobą — Bóg z tobą.

Jan Kazimierz powiódł dokoła oczyma, jakby szukał, czy kto nie słyszał Bojanowskiego, lecz bliżej nie było nikogo, a i Strzębosz przestraszony uciekł.

Król, postawszy chwilę, niepewnym krokiem, milczący, nie rzekłszy już słowa, udał się ku plebanii.

Dziekan, który z progu jej patrzył na powracającego, dostrzegł jak chwiejącemi się i nieśmiało krokami szedł zadumany z głową spuszczoną.

Starzec nie spojrzął na odchodzącego — przeżegnał się spokojnie i zaczął modlić się znowu. W kościółku dzwon odezwał się na pacierze wieczorne; Bojanowski kląkł w progu, ręce podniósł do góry,

głowę ku niebu, i głosem, w którym jęk i łkanie słychać było, — gorąco się modlił.

Jan Kazimierz znikł, wszedłszy na probostwo, a Strzębosz, który zdawał coś pochwycił, z trwogą spoglądając na starca, oddalił się — niemal gniewny na niego.

III.

Cicho, bez tryumfów i rozgłosu, powrócił król do Warszawy — przyjęty przez królową tak, jakby istotnie przybywał zwycięzcą.

Marya Ludwika знаła doskonale stan sprawy i wartość zawartych układów — ale podnosząc zasługi męża, sądziła, że w nim rozbudzi i utrzyma rycerskiego ducha.

Tę powolność i serdeczność Maryi Ludwiki Jan Kazimierz, już znużony wielce, opłacił tylko zbliżeniem się do niej czułem, niż przed tem. Była to jakaś jesień na miłość, nietrwała jak owe babie lata słoneczne, ale królowej miła i potrzebna.

Ona korzystała z tego rozczulenia, aby moc swą i władzę nad mężem utwierdzić; a wielkich na to wysiłków nie potrzebowała, gdyż król rad się trosk i ciężarów rządzenia pozbywał, składając je na nią i na Ossolińskiego, a zabawiając się podzielnem swojemi karłami, słuchaniem plotek dworskich, myślistwem trochę i towarzystwem pań pięknych, w których z kolei, na krótko wdzięk jakiś upatrywał.

Ile razy miał Butlera przy sobie, a nawet młodszego ulubieńca, pokojowego swego Tyzenhauza, spowiadał się potem przed niemi z tych wrażeń.

— Wiesz, starosto — mówił popowrocie do Butlera — po tej expedyeyi, zażywszy niewczasów i samotności bez niewiast, teraz mi i jedzenie lepiej smakuje — i wszystkie kobiety piękniejszemi się wydają. Królowa odmłodziła, a co się tyczy marszałkowej... prawdziwy cud — świeża, śliczna, i nie dziwię się, iż powiadają, jakoby ten nieznośny Starosta Łomżyński w niej się kochał.

— Starosta Łomżyński? — podchwycił Butler — albowż to on jeden! Jest ich z gorącemi affektami wielu i liczą pono na to, że marszałek bodaj nie długowieczny.

— Ale prawda — mówił król — znalazłem go bardzo postarzałym i jakby chorym, choć się do tego nie przyznaje. Od śmierci Władysława nie widziałem uśmiechu na jego twarzy... a sam, słysząc, powiada i prorokuje, że wkrótce pójdzie za nim...

— No — tak źle jeszcze z nim nie jest — odezwał się starosta.

— Nazywają to doktorowie fizjognomią hypokratyczną — rzekł król — co ja z jego twarzy widzę. Źle się ma. Sądzicie, że Starosta Łomżyński? Ja znieść go nie mogę.

— Ja też go nie kocham — rzekł Butler — i nie o nim nie wiem, oprócz tego, że napastliwy jest, uparty, dosyć zręczny a bezwstydnym. Tacy ludzie, jak on — wiele mogą u kobiet...

— Zaś! — przerwał Jan Kazimierz — Omarszałkowej mam zbyt wysokie wyobrażenie, aby się podzielił z wdowcem dała usidlić. Uchowaj Boże w razie Kazanowskiego śmierci — pójdzie za mąż niechybnie, bo dzieci nie mają, młodą jest... a podobna się łączyć; ale... niech ją Bóg broni od Łomżyńskiego Starosty...

Niebezpieczny człek! — dokończył Butler.

Starosta Łomżyński, o którym była mowa, Hieronim Radziejowski — jako dworzanie Władysława IV dobrze był znanym w Warszawie. Mazowieckiej szlachty, nieznacznego rodu, ojca dopiero miał na krześle w Senacie, za Zygmunta III, urosłego tem głównie, iż wielce gościnnym był i faworytem pańskim przypodobać się umiał. Ucztowaniu z niemi, i podarkom zawdzięczał to Wojewoda Łęczycki, że się na krzesło dostał, a syna mógł przy królewiczu umieścić...

Młody Hieronim w czasie, gdy jeszcze przy Władysławie i dworze się czepiał, dał się poznać już z tego, że posłem wybrany, gdy go jako uwodziciela dziewczyny zanego domu precz z izby

wyrzucić chciano — utrzymał się w niej zuchwalstwem i łaską królewską.

Mianowano go później krojczym królowej i Maryi Ludwice przypochlebając się i donosząc pokryjomu, co gdzie pochwycił, umiał się przypodobać, chociaż nigdy ona dla niego szacunek nie miała.

Ci, co go bliżej znali — nieszczególnie się o nim wyrażali. Intrygant zuchwały a bezwstydnym, zarozumiały i dumny, w wyborze środków, którymi się dla krescytywy posługiwał, wcale nie wybredny nie miał przyjaciół — ale sobie jednak, kogo potrzebował... kaletką i kubkiem. Poczciwych też ludzi nie miał za sobą, ani się do nich garnął. Z tem wszystkiem, gdy mu było potrzeba, z kobietami szczególnie umiał Starosta Łomżyński tak się obchodzić, że go za niebezpiecznego miano. Dwa razy się żenił, polował zresztą tylko na posagi, a na resztę nie zważał. Z siebie nie majętny, bo ojczyste Radziejowice na życie wystawne i szumne nie starczyły, wyrobił już sobie Starostwo Łomżyńskie, po żonach wziął dobra znaczne, i prorokowano mu krescytywę pewną, bo się wciskał, narzucał i zabiegał niezmordowanie.

Około króla Kazimierza zawczasu się starał zyskać sobie przyjaciół, co mu się dotąd nie wiodło.

Po powrocie do Warszawy przybył i Radziejowski z powinszowaniem, lecz król przyjął go zimno, choć dla przypodobania mu się, towarzyszył w pierwszych dniach Października podróży obojga państwu do Częstochowej, a potem i na łowy. Jan Kazimierz rad-by się go był pozbył — lecz z natrętem, którego zimne obchodzenie się nie zrażało, nie umiał sobie poradzić.

W miesiącu Listopadzie był sejm zwołany, który nie tak się zapowiadał, jakby go sobie życzone.

Od Zbaraża głosy głuszyły już i zaćmiewały, sławę i blask Zborowskich traktatów. Na Ossolińskiego mnożyły się paszkwillusze, co się na sejmie też nieprzyjemnie odezwać obiecywało.

Zapobieżono temu wnosząc takie materye mniejszej wagi, które rozmaitych ziem interessa żywo obchodziły; koekwacye, rachunki, rozdawnictwa urzędów, zapłata wojsk na przemiany posiedzenia wypełniły, tak, że w początku nie drażliwego nie wyszło na stół.

Sejm przytem, jak wszystkie ówczesne, był zarazem dla senatorów i posłów Rzeczypospolitej doskonałym zabawianiem się i wzajemnego ugaszczania pretextem. Dnia jednego przypadały imieniny, drugiego celebrowano godność nową, że nili się krewni, godzili nieprzyjacieli, wszystko wywoływało bankiety i ucztowania. Bardzo często król i królowa zapraszani bywali i zaszczycali swą przytomnością nawet sług ulubionych wesela, chociaż Marya Ludwika czasem, nietylko, że sama nie szła, ale i królowi iść zabraniała, bo się w wesolej gromadce często zapominał zbytnie.

Więc gdy sejm najmniej pracował, bywał najmocniej zajęty. Po uczcie nazajutrz brakło na posiedzeniach tych, co wypoczywali; inni nie przychodzili, gotując się wyprawić bankiet, a że wkrótce po rozpoczęciu sejmu adwent się rozpoczął, nabożeństwo więc także nie mało czasu zabierało. Odpoczywano, rozumie się, w każde święto i niedzielę.

Kancelarz i inni większego wpływu dygnitarze, mieli też w sejmie swoich w obu izbach posłusznych adherentów, którzy nieprzyjemne przedmioty odwracać, a pożądane wyciągać na stół pomagali, bardzo zresztą. Wogóle czas upływał dosyć wesoło.

Królowa zdala miała wszystko na oku. Sejm już był drugi miesiąc czynnym, chociaż dotąd owocu pracy jego trudno się było dopatrzeć, gdy przybycie ostentacyjne nieco, Wojewody Ruskiego, bohatera, któremu wszyscy zazdrościli i z tego powodu nieprzyjazni się okazali, poruszyło stolicę. Bohater ze Zbaraża przybywał, jak przystało na wodza, z pocztą wielkim i pięknym doborowej konnicy, i jak przystało na wielkiego pana, z dynastów litewskich ród wiodącego, okazałe i świetnie.

Wiedział on bardzo dobrze, jakie tu znajdzie

dla siebie usposobienie; ale niezłomnego charakteru mąż nie przywiązywał do tego wagi. Dawszy tyle dowodów patriotyzmu i poświęcenia, naostatek skłoniwszy się do przejednania z ks. Dominikiem Zasławskim. Wiśniowiecki czuł się tak czystym, a tak od wszelkiego zarzutu wolnym, iż śmiało mógł drobnym swych wrogów lekceważyć.

Tak też czynił, ale dla senatorów, dla króla samego, ta postać surowa, nieugięta, zimna pozornie, której nic zadać nie było podobna, niewygodną i niepożądaną wcale się stała. Sam król widział w tym bohaterze współzawodnika, który go zaćmiewał, gdyż Zborowa bądźco bądź do Zbaraża nikt już nie porównywał, a Wiśniowiecki za wszystko, co wycierpiał, za olbrzymie straty poniesione, tak lichu był wynagrodzony, iż niechęć dworu i pana cała się w tem zdradziła a teraz temu pokrzywdzonemu przez króla, a wysoko bardzo cenionemu przez naród mężowi, potrzeba było spojrzeć w oczy.

Król, który dotąd w wysmienitym humorze był i zabawiał się u Ojców Soc. Jesu protektorem ich kongregacji dając się wybierać, razem z ks. Albrechtem Radziwiłłem, który został jej sekretarzem, po przybyciu Wojewody Ruskiego zaspęłił się.

A tu i ów stary przyjaciel kanclerz Radziwiłł z Janem Kazimierzem się posprzeczał. Szło o rzecz niewielkiej wagi, ale Radziwiłł miał słusność, a gdy się czuł w prawie, stawał się upartym.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOWINY PARYZKIE.

Paryż w Marcu 1886 r.

Wspomnienia pośmiertne. — Professor Kleczkowski. — Ludzie i rzeczy chwilowej wziętości. — Liszt i jego żegluga po tych falach ciekawości paryskiej. — Powód urzędowy i nieurzędowy tej podróży. — Jego *Sic vos non vobis*. — Liszt i Munkaczy. — Koniec Mozarta. — Przyjęcie na dworcu i w domu. — Msza u ś. Eustachego. — Reklamy; ich wpływ i skutki. — P. Glouvet jego nowa powieść „Ojciec”. — Prokurator i pisarz. — Udawane spory. — Reklama archeologiczna.

(Dokończenie)

W Poniedziałek 22-go, p.p. Munkaczy dawali wielki muzyczny wieczór, na cześć gościa, i rodaka swego Fr. Liszta.

Na odgłos tego nazwiska zbiegło się do domu państwa Munkaczych wszystko, cokolwiek w Paryżu upędza się za rozgłosem, zabawą, ciekawością, albo nowiną. Powiedzieć jutro, że się nie tylko widziało, ale słyszało Liszta, który teraz publicznie nie występuje wcale, było to tak wielką atrakcją, że większa część tych ludzi, która Munkaczych zna ze słyszenia lub widzenia tylko, przyjęła, a nawet poszukiwała zaproszenia, do domu przy ulicy Villiers. Było więc tam pełno tej dziwnej mieszaniny paryskiej, którą trzeba widzieć, aby należycie ocenić! Naturalnie, że pod koniec wieczoru Liszt dał się uprosić i zasiadł do fortepianu, a zachwycony kronikarz urzędowy, powiedział nazajutrz: „Póki życia nie zapomnę tego uderzenia łapą starego lwa!” Miał racją Francuz w swem uniesieniu, dając taką kwalifikacją grze Liszta; jest w niej dziś jakby skoncentrowanie całej przeszłości i całej potęgi mistrza. Urzeczywistnia ona to wyrażenie poety: „Rozłóż na pojedyncze dźwięki straszliwy ryk grzmotu, a ułożoną z nich piosnką, uspij dziecię w kolebce; ale zbierz też same dźwięki w jedno gwałtowne uderzenie piorunu, a ziemia ruszy z dawnych posad!” Gra Liszta dzisiaj, gdy mistrz nie wykonywał nic więcej prócz własnych improwizacji, ma właśnie słodycz i delikatność piosnki, w której dźwiękach słysząc przecież, z jak potężnego akordu, te dźwięki odczepione zostały. A kiedy sproszeni goście mieli już zupełne zaspokojenie i ciekawości i słuchu, powiedziano im też od niechcenia, że w tym domu, tak szeroko i gościnnie otwartym dla mistrza, jakgdyby był u siebie, inny jeszcze hołd mu

gotują. Oto mistrz Munkaczy zaczął malować portret mistrza Liszta, swego przyjaciela.

Nieprawdaż? Jaka to delikatna a zrećźnie ułożona reklama! Musiała też sprawić, oczekiwany efekt. Liszt jest to *rara avis* dzisiejszej chwili: każdy o nim mówi, albo słyszy, co mówią. *Requiem* Mozarta, przeszedłszy swój zenit, gaśnie za drzwiami Sedelmayera, które się zresztą zamykają dzisiaj. Paryżanie już zapomnieli o nim; przychód z wystawy nie odpowiedział nadziejom. Ale mniejsza o Mozarta, kiedy Munkaczy żyje, żyje i maluje portret Liszta, który jest już przysłą nadzieją i przysłą atrakcją!

Liszt zresztą, jak prawdziwy meteor, przebiega horyzont paryżki, wszystkie teleskopy są skierowane ku niemu, a kto go zdoła zachwycić do siebie, ten dopiero ma o czem opowiadać innym. Owa „Msza Ostrzykońska”, wykonana została u ś. Eustachego, pod dyktando, jakiegoś mówili, p. Calonne’a. O muzyce nie mogę sądzić i dyskutować *ex professo*, wolę zamilczeć. Dla mnie wszelkie tego rodzaju popisy w kościele są wstrętne. Im dalej zachodzę w lat, tem głębiej czuję potrzebę uspokojenia i odosobnienia w świątyni pańskiej. Wszystko, co jest blaskiem i wrzaskiem w kościele, najprzykrzejšie na mnie sprawia wrażenie, muzyka, śpiew, im prostsze, tem głębiej mnie poruszają. Otóż na tej mszy u ś. Eustachego tyle było wrzasku i blasku, jakiego nigdy jeszcze i nigdzie nie spotkałem. Byłem czas cały, jak na torturach, i pragnąłem się w myślą ją schować.

Kościół był jak nabit, bo oprócz biletów do krzesła, po 10 fr. sprzedawanych, byli słuchacze bezpłatni, stłoczeni w boczne nawy kościoła. Bilety były z numerami, ale trzy czwarte siedziało nie na swoich miejscach, chociaż od godziny 8-ej zrana, ordynki długie zawałyły sąsiednie ulice kościoła. Wiecie zapewne, że tu niema ławek w kościele; zastępują je krzesła, których przesuwanie i posuwanie przy takim, jak to, zbiegowisku sprawia niesłychanie nieprzyjemny rumor. Nie docisnąłem się, ale dosłownie: wniesiony zostałem przez jakieś dwie, rezolutne i odważne kumoszki do krzesła z N. 154, kiedy mój bilet wskazywał N. 24. Sądźcie, co się musiało dziać zresztą! Kiedy przed wyjściem mszy świętej, we drzwiach zakrystyi, poprzedzony solennym poczem *des Dames Patronnes*, ukazał się Liszt, każdy z przytomnych, chcąc go zobaczyć, zrobił się taki rumor w kościele, że był skandal wietrny. Bez ceremonii ludzie zaczęli wlać na krzesła, a wreszcie i na plecy sąsiadów. Ztąd pisk, harmider, wykrzykniki, słowem dzień sądny. Ale w końcu, szwajcarowie i zakrystyanie, nawołał tłum do porządku, i uspokoiło się. Liszt zasiadł na krzesło, obok dyrygującego orkiestrą, przy wielkim ołtarzu, a za nim całe grono patronek! Na ten obchód mistrz przywdział sukienkę niby duchowną, z owym-to lekkim płaszczkiem na plecach. Piersi miał oblepione gwiazdami, na szyi, na szerokiej czerwonej wstędze krzyż kommandorski legii honorowej, dany mu osobiście przez Napoleona III. Słowem był, jak to należało, przybrany z księcia po węgiersku. Muszę mu oddać tę sprawiedliwość, że do muzyki wcale się nie mieszał, lecz modlił się uczciwie i przykładnie, klęcząc pokornie na klęczniku w czasie podniesienia i t. d. Co do muzyki, jak powiedziałem, to rzecz nie moja, dwa jej ustępy dotknęły mnie żywo — słodyczą i spokojem śpiewu: najpierw *Agnus Dei* z grą fletów i śpiewem tenoru — i ostatnie słowa *Da nobis pacem*, których melodia jest dziwnie pięknie zastosowana do tej modlitwy o pokój.

Odwrot Liszta do zakrystyi, po ukończonej ceremonii, odbył się w tymczasem, jak wejście, porządku. Mistrz, okryty gwiazdami i zawsze w asystencji i pod strażą komitetu patronek, powolnie i z powagą posuwał się do drzwi, przy nowem piętrzeniu się ciekawych, we wszystkich kierunkach kościoła; przy samem wejściu do zakrystyi, czekał nań z otwartą ramioną, Emil Olivier. — „Człowiek o lekkim sercu” — który był ożeniony z córką Liszta, przed kilku laty zmarłą. Stary lew rzucił się w objęcia uszczęśliwionego zięcia, a chustki orszaku podniosły się ku zwilżonym oczom rozczulonych patronek.

Muzyk, rozrywany na wszystkie strony przez stare znajome, ledwie wystarczyć może; chciał już wyjeżdżać jutro 1 Kwietnia, ale mu odradzono mówiąc, że nikt nie uwierzy temu i każdy to weźmie za „Prima Aprilis.” Zostaje więc jeszcze na kilka dni i będą go obwozić i pokazywać, gdzie tylko jest do zaspokojenia, jaka miłość własna, albo do złapania jaka pięciofrankówka na cele dobroczynności. Naturalnie.

Ta żądza reklamy jest nienasyconą; potrzeba i poszukiwanie jej panuje nad wszystkim—i ztąd wszystko złe. Od pretendenta do korony aż do ostatniego pacholka, każdy tutaj jest aktorem. Scena się zmienia, rozszerza lub zmniejsza; ale ludzie zawsze coś udają, *pozują*, przebiegają się za coś innego niżeli są wistocie. Posel w izbie nie dlatego się dobija do mównicy, że mu ojczyzna miła, że chce zaradzić złemu, odwrócić od niej cios grozący, że pragnie przekonać, oświecić izbę—nie! Całe to wystąpienie ma na celu rozgłos! każdy chce, aby dzienniki mówiły o nim, jako o jednym z najdzielniejszych mówców i aby publiczność, a często aby jedna z kobiet obecnych na posiedzeniu, mogła się zachwycić jego talentem oratorskim—a często aktorskim. Reklama, reklama we wszelkiej formie! reklama koniecznie! Wszędzie na świecie, wyśmiewać kogoś, zbierać wzorki, malować karykatury—jest to uwłaczać, ubliżać temu, który jest przedmiotem podobnych żartów. Tutaj jest to jedna z najpożądanych rzeczy; to daje rozgłos; otwiera podwoje do nieśmiertelności... Jak daleko może się to posuwać, nawet ze strony niby poważnych ludzi, trzeba wejść aż za kulisy tej sceny światowej, i przypatrzeć się zblizka tej dziennikarskiej kuchni, w której się przygotowują zwykłe tego rodzaju przyprawy.

Człowiek obcy tym fabrykom nieśmiertelności (*officina immortalium*), łatwo może wpaść w błąd, i najgłupszą najbezczelniejszą reklamę przyjąć za dobrą monetę. Mają oni do tego niesłychaną wprawę i są mistrzami w tym względzie. Weźmy pierwszy lepszy przykład, a ten nam pokaże, jak to powiadają, gdzie raki zimują...

Niedawno wyszła na świat nowa powieść niejakiego p. Juliusza de Glouvet'a, pod tytułem: *Ojciec* (Le Père). Autor kilku już dawniej wydanych powieści, ani lepszych, ani gorszych, jak wiele innych, zalecał się wszakże jędrnością stylu, jasnością układu i praktycznym, logicznym rozwiązywaniem swoich powieści, a ztąd miał pewne osobliwe i wyjątkowe zalety.

Wiedzano oddawna, że ten Juliusz Glouvet był to pseudonym, jednego z młodszych członków sądownictwa—dziś już prokuratora przy trybunale, pana Quesnay de Beaurepaire'a. Kilka, jak mówiłem, powieści napisanych z prawdziwym talentem, dało go poznać szerszej publiczności, chociaż autor nie miał żadnej styczności ani z pornografią, ani z awanturami policyj poprawczej, albo sądu kryminalnego...

Kilka lat temu *Nowy Przegląd* pani Julietty Adam'owej ogłosił pierwszą powieść autora, p. t. *Leśniczy* (Forestier). Publiczność, która czyta ten przegląd, a nie liczy się na tysiące, musiała być zdziwioną trochę, nie znalazłszy tu nic, coby przypominało nieśmiertelne zasady 1789 r. i widząc na ich miejscu rozwijające się spokojnie opowiadanie o tem, co się dzieje w głębi tych lasów, gdzie człowiek, chociaż prowadzony gorącą namiętnością myśliwego, pomimo woli przecież zaczyna żyć z tymi, na których życie się zasadza i z tem, co go otacza, to jest, z matką naturą. Powieść ta była doskonałym studium życia, nie tylko leśniczego, ale i myśliwego-filozofa, jakim widocznie był autor. Utwór mógł głęboko wzruszyć tym tajemniczym wdziękiem, który się wydziela z głębi światów natury, ilekroć człowiek myślący znajdzie się samotnym wobec ich potężnych wpływów.

Przyszły następnie inne jeszcze dwie czy trzy powieści—bardziej już pokrewne prawdziwemu zawodowi autora, zawodowi sądownictwa—jak na przykład: *Etude Chandoux* i t. d. aż na koniec ukazała się, jak mówiłem, powieść p. t.: *Ojciec*. Autor tym razem wyszedł z przedsiomków Temidy, szukając przedmiotu wśród społeczności, która jest jego społecznością, i dotykając jednej

z tych kwestyi—gdy człowiek oddany własnym namiętnościom napróżno stara się powrócić na drogę obowiązków i prawdy, które własnymi pogwałcił rękoma. Oto w kilku słowach, jaki jest przedmiot tej powieści:

Niejakiś p. de Valdenay w młodości poznał i pokochał kobietę—ale, niestety, kobietę zamężną, p. de Loisail. Córeczka była owocem tych występnych związków. Mąż pani de Loisail, który był nieobecnym, po swoim powrocie nie odrzucił dziecka; szukał tylko, ale napróżno człowieka, który go zhańbił, aby się zemścić, i nie przebaczył żonie, zmarłej z bólesci i zgryzot. Po śmierci nieszczęśliwej kobiety p. Valdenay wykrada małą Krystynkę, poświęca się jej wychowaniu i czasami dziecie staje się piękną i uroczą dziewczyną.

Zdalone od Paryża i w błogiem ustroniu ojciec i córka nie są przecież osamotnieni zupełnie; w sąsiedztwie mieszka p. Jacek de Nolles. Młodzi ludzie kochają się wzajemnie, i Jacek poczciwy i zany chłopiec, żąda poślubić Krystynę. Tu autor-jurysta występuje na scenę. P. Valdenay, nie mogąc złożyć metryki Krystyny, odmówiono Jackowi jej ręki. Następują opisy bolesnej sytuacji każdej z tych trzech osób; najnieszczęśliwszym zapewne jest p. Valdenay, bo przyszła dla niego chwila obrachunków ze społecznością, mu trzeba mu zapłacić stare swe grzechy.

Ale zdążajmy do rozwiązania. P. de Loisail, który się ożenił powtórnie, występuje znowu na scenę, bo zakochany Jacek, nie widząc innego środka do złamania legalnych przeszkód, udaje się do niego, jako do ojca *quem nuptiae demonstrant* i prosi o rękę Krystyny.—„Ale wara, mój bracie—powiada p. de Loisail—teraz dopiero trzymam w ręku zemstę i nie puszczę jej tak łatwo. Teraz dopiero p. Valdenay odbierze za swoje.” Ale Opatrzność, która jest zawsze gotowa na zawołanie powieściopisarzy, zjawia się w postaci drugiej żony mściciela i powoli, delikatnie rozwiązuje ten zagnatany wątek i Loisail, idąc za jej szlachetną radą, nie karze niewinnej za grzechy matki; daje swe błogosławieństwo Krysi, i szczęśliwa para staje w końcu na kobiercu.

Taką jest w streszczeniu ta powieść. Musiał pierwszą myśl do niej spotkać prokurator w papierach sądowych, podobnej sprawy—upoetyzował, uidealizował niektóre szczegóły i dał nam książkę, pomyślaną poczciwie, napisaną zręcznie. Czegoż potrzeba mu było jeszcze? Oto reklamy!

Podjęły się wprowadzenia tej sprawy dzienni i skrajne socjalistyczno-anarchiczne. Okrywając się szatą zgorszenia, popiołem posypawszy głowę, z przerażeniem wrzasnęły na skandal, że osoba, tak wysokie w sądownictwie zajmująca miejsce, jak p. prokurator trybunalski, śmie się dopuścić takiej drożności, pisać i drukować powieści. Jedno co pozostaje ministrowi sprawie dliwości, jest to wydalenie ze służby takiego przestępcy. Na to dzienniki umiarkowanych opinii, gazetki światowe odpowiedziały przypominając dość skromnie kolegom i braciom, że nie wypowiedziały wszystkiego. P. Quesnay de Beaurepaire, jest to właśnie owym prokuratorem, który tak energicznie domagał się kary na Krapotkina i Ludwikę Michel, i który otrzymał ostatnimi czasy liczne kondemnaty na anarchistów rozmaitej barwy i postaci. Tu więc leży, mili bracia, wasz ów pies zagrzebany... a nie w niewinnych powieściach. I niema takiego prawa i takiej władzy, któreby mogły potępić się dzieło za napisanie dobrej i poczciwej książki.

Zdawałoby się, że to szalona bitwa piórników, stoczona na grzbiecie biednego autora, musi mu być niezmiernie dotkliwą, a nawet niebezpieczną. Możemy uspokoić troskliwych o jego los czytelników. Wszystko to są żarty, igraszka słów, psikus jego wydawcy. Ten harmider, około osoby pisarza, to wyśmienita reklama dla książki, której sprzedaż o 10% poskoczy w górę.

Tak tu wszędzie i zawsze spotykamy się z reklamą, która jest duszą przemysłu. Dla dzienników stało się to powodem bardzo okazałych dochodów. Doprowadzono też ten rodzaj literackich ćwiczeń dla wysokiego stopnia doskonałości. Są tu rozmaite odcienie reklamy, zaczynając od prostego, klasycznego zawiadomienia, aż do

reklamy w postaci niezmiernie skomplikowanej nowelli. Szereg jest długi i konkurs zawsze otwarty najpocieszniesze i nadszaniejsze rzeczy spotykają się w tym rodzaju artykułów; są nawet prawdziwie naukowej wartości.

Nigdy nie zapomnę tej reklamy archeologiczno-historycznej jednego z pierwszych dentyków w Paryżu. Autor artykułu zaczął od przypomnienia czytelnikom wypadku, który się zdarzył w czasie wyprawy Xerksa i który przytacza Herodot: „Najstarszy z Pisistratydów, którzy byli przy sztabie Króla Perskiego, zakatarzony okropnie, kichnął tak gwałtownie, że mu dwa zęby wypadły na ziemię. Wypadek ten uważany za złą wróżbę, szkodliwie wpłynął na usposobienie wojska i przyczynił się do jego klęski. Otóż—dodaje zębów—gdyby ów jegomość miał być przy sobie dentystę tak biegłego, jak p. X., nie byłby stracił zębów i zwycięstwo zostałooby przy Persach...”

Z DZIAŁU PRZYRODY.

Słońce i przestwór.

Słońce źródłem światła, ciepła i działań chemicznych.—Ile świeć jarzących dorównywałoby blaskowi słońca? —Porównawcze zestawienie siły światła słonecznego. — Trzy źródła dostarczające ciepła ziemi. — Jaką ilość ciepła ziemia od słońca odbiera? — Ciepło słoneczne mogłoby dziennie stapiać warstwę lodu otaczającą słońce, grubą na 17 kilometrów. — Jaką ilość pracy wytworzyć mogłoby ciepło słoneczne? — Przyczyna wytworu prądów powietrznych.—Związki i rozkłady chemiczne. — Wpływ słońca na życie roślin i zwierząt. — Światło rodzicielką barw i woni. — Wszelki ruch ziemski, każda szarża kawaleryi, jest wytworem siły mechanicznej słońca. — Jaką ilość siły słonecznej ziemia pochłania? — Odległość słońca od ziemi. — Szybkość światła, kuli armatniej, głosu. — 325,000 kul ziemskich równowagą dopiero jedno słońce. — Gęstość i objętość słońca. — Przenśny ruch jego. — „Ciemności” Byrona. Czy słońce jest zamieszkanem i czy być może w przyszłości? — Zniczenie życia z zanikiem wibracji słonecznych.

(Dokończenie).

Liście drzew, trawy pól, wszystkie rośliny krzewiące się na ziemi wyziewają tlen w obfitości, wydzielając pełnymi płucami najczystsze powietrze.

Moleschott udowodnił licznymi doświadczeniami, że w zwykłych warunkach ilość kwasu węglanego wyziewanego przez zwierzęta powiększa się w miarę silniejszego promieniowania słońca, a dosięga swej minimalnej granicy w zupełnej ciemności, co wskazuje, dodaje ten uczony, że światło słoneczne przyspiesza pracę molekularną w zwierzętach.

Tak więc promienie słoneczne są z wszelakiego punktu widzenia pierwszym warunkiem istnienia jestestw organicznych na powierzchni ziemi. Dostarczają im one ciepła, bez którego życie wkrótceby zagasło, światła koniecznego do żywienia się roślin, a temsamem i wszystkich rzesz zwierzęcych, wreszcie sprowadzają liczne związki i rozkłady chemiczne. Słońce jest źródłem nieustannem i peryodycznie odnawiającem się ruchu, siły i życia. Pokolenia ludzkie dziś żyjące korzystają, nie tylko z olbrzymiej ilości siły, jaką słońce corocznie wytwarza na ziemi, pod postacią falowań ciepłikowych chemicznych i świetlnych, ale nadto użytkują jeszcze z zapasów tej siły nagromadzonych w ciągu wieków. I w istocie, czemuż są pokłady węgla kamiennego, zagrzebane pod ziemią w skutek przewrotów geologicznych, jeżeli nie produktem światła słonecznego, które tam nagromadziło się przed kilkuset tysiącami lat w lasach kolosalnych? Węgiel wytworzony wskutek pewnego rodzaju powolnej dystrylacji, gromadził się zrazu w pokładach torfowych, następnie przechodził w skały ciśnie zbite aż w końcu zniszczone całkiem szczątki roślinne przekształciły się ostatecznie w łożysko węgla kopalnego. Dziś z tych skarbów kopalnianych człowiek korzysta, użytkuje z ich światła, ciepła, i z ich siły siły mechanicznej, czyli ostatecznie z siły promieniowania słonecznego.

„Oile jest pewnem—powiada Tyndall—że siła nadająca ruch zegarowi, pochodzi z ręki jaka urządziła jego mechanizm, o tyle nie ulega żadnej wątpliwości, że wszelka siła ziemską jest pochodzenia słonecznego. Nie licząc już wybuchów wulkanicznych, przypływów i odpływów morza, każda akcja mechaniczna wywarta na powierzchni ziemi,—każdy objaw siły organicznej i nieorganicznej, życiowej lub fizycznej ma swe źródło w słońcu. Ciepło gwiazdy dziennej utrzymuje morze w stanie płynnym i atmosferę w stanie gazowym; wszystkie burze i huragany wstrząsające oceanem i atmosferą powstają z siły mechanicznej kuli słonecznej. Ona jest rodniczką źródeł, rzek i lodników w górach, a więc wodospadów i lawin staczających się z ich stoków. Piorun i błyskawice są również objawem jej potęgi. Wszelki ogień i płomień dają światło i ciepło, których źródłem jest słońce. W epoce, w jakiej żyjemy, wśród wrzawy bojowej, każda szarża kawalerii, każde starcie się dwóch armii jest wytworem siły mechanicznej słońca. Słońce nawiedza nas pod postacią ciepła i żegna pod postacią ciepła, lecz w upływie czasu zachodzącym między jego nawiedzeniem nas i pożeraniem, wytwarza ono przerozmaite siły na kuli ziemskiej. Fizyk naszych czasów natrafia wszędzie na cuda, o jakich nie zamarzył w swych poematach Milton. Zbierzmy w jedną sumę siły kuli ziemskiej, potęgę nagromadzoną w naszych kopalniach węgla kamiennego, w prądach wietrznych i w rzekach, w naszych flotach, armiach i działach: czemuż jest ona? Oto ułamkiem dochodzącym zaledwie $\frac{1}{2.150.000.000}$ całkowitej tej siły słonecznej. Taką jest w rzeczy samej cząstka tej siły pochłaniana przez ziemię, z której przecież mniejsza jeszcze cząstka przetwarza się w siłę mechaniczną.“

Wymiary systemu planetarnego, tego tylko który znamy, dają średnicę 60 razy większą od odległości przedzielającej słońce od ziemi, to jest średnicę równą prawie 9 miliardom kilometrów, ściśle bowiem biorąc, wynosi ona 8,890,000,000 kilometrów.

Jeżeli chcemy wytworzyć sobie pewne pojęcie o tej kolosalnej rozległości, oszacujemy ją *czasem* jakiego potrzebują różne ciała do jej przebieżenia. Światło, przebiegające przestrzeń z szybkością 280,000 kilometrów na sekundę, przebiegłoby z końca w koniec cały system planetarny w 8 godzinach i 17 minutach; kula armatnia gdyby mogła zachować całą swą szybkość jednostajną 450 metrów na sekundę, przebiegłaby tę przestrzeń w ciągu 526 lat, głos zaś potrzebowałby do odbycia tej drogi 845 lat!

Ile waży słońce w porównaniu z masą kuli ziemskiej? Na to pytanie astronomowie znaleźli odpowiedź na podstawie dość skombinowanych obliczeń, które okazały, że 325,000 kul ziemskich zrównoważyłyby dopiero jedno słońce!

Wiadomo, że zdołano oszacować gęstość średnią kuli ziemskiej, którą oznaczono prawie na 5,44, co oznacza, że ziemia waży 5,44 razy więcej od wody tej samej objętości. Mnożąc ten jej ciężar przez 325,000 znajdziemy ogółowy ciężar słońca, który wyrażony w beczkach 1,000 kilogr. da cyfrę: 1,920,000,000,000,000,000,000,000!

Dzieląc masę słońca przez jego objętość, otrzymujemy gęstość, czyli ciężkość gatunkową, którą wyraża ułamek $0,25136$, gdy się przyjmie gęstość ziemi za jednostkę. Oznacza to, że przy równej objętości ciężar materii słonecznej przedstawia tylko czwartą część ciężaru materii składającej kulę ziemską. W stosunku do wody gęstość słońca reprezentuje cyfra 1,377; oliwa najgęstsza posiada ciężkość gatunkową 1,36; gęstość zaś fosforu jest 1,77. Wynika ztąd, że słońce

waży nieco więcej od kuli wytworzonej z oliwy tychże samych wymiarów, a daleko mniej od kuli fosforycznej.

Objętość słońca przechodzi 600 razy objętości wszystkich razem wziętych ciał niebieskich naokoło niego krążących. Masa zaś tychże ciał jest 432 razy większą od masy ziemi, czyli jest $\frac{1}{740}$ cząstką całej masy słonecznej.

Ciała na powierzchni słońca ważą 27 razy więcej niż na ziemi; 29 razy więcej, niż na Wenerze; przeszło 30 razy więcej, niż na Jowiszu. Pociski naszej artylerii—powiada Liais—miałyby na słońcu wielce małą doniosłość; opisywałyby one tam linie przedstawiające bardzo wielką krzywiznę i spadałyby na powierzchnię słoneczną w odległości zaledwie kilku metrów od wyłotu działa. Potrzeba też byłoby tam użyć daleko większych naboju prochowych dla pozyskania skutku artylerii ziemskiej.

Słońce jest gwiazdą i niezaprzeczenie stanowi część niezmiernego zbiorowiska gwiazd i mgławic, znanego pod nazwą *drogi mlecznej*.

Słońce nie tylko odbywa ruch obrotowy około swej osi, ale nadto ruch przenośny. Pierwszy wykrył prawdopodobieństwo tego ruchu przenośnego Lalande w r. 1776. Podzielali pogląd jego Fontenelle, Bradley, Tobiasz Mayer, Lambert; jakkolwiek nie zdołali oznaczyć dokładnie tego ruchu. Hypotezę tę oparł dopiero na podstawie ścisłej obserwacji Herschell. Dziś już nie ulega żadnej wątpliwości, że w ruchu przenośnym słońce przebiega przestrzeń międzygwiazdową.

Według hipotezy p. Faye słońce jest olbrzymią kulą gazową, a liczne plamy w jej fotosferze są wytworem obniżenia się miejscowego temperatury słonecznej. Gdyby więc to obniżenie rozszerzało się ciągle, plamy zaległyby całą fotosferę i słońce przekształciłoby się w gwiazdę ciemną, nieożywającą już swem światłem i ciepłem światła około niego krążących. Dla rzeszy zwierzęcych i człowieka wybiłaby wtedy godzina śmierci.

Wynik ten może nastąpić kiedyś po upływie wielu milionów lat i słońce wówczas coraz słabsze światło przesyłać będzie ziemi, aż w końcu zagaśnie. Chwilę tę pomistrzowski skreślił Lord Bajron w poemacie „Ciemności” przerażającym grozą. Pięknie przełożył go Mickiewicz:

Miałem dziwny sen, może i nie całkiem senny!
Zdało mi się, że nagle zagasnął blask dzienny,
A gwiazdy, w nieskończoność biorąc lot niezwykły,
Zbłąkawszy się, olnawszy, uciekły i znikły
Bez nadziei powrotu. Ziemia lodowata
Wisiała ślepa pośród zaćmionego świata.
Ranki weszły, minęły, ale dnia nie było.
I wszystkie namiętności zatlumiała trwoga;
Serce rodu ludzkiego jedną żądzą biło;
Cały ród ludzki prosił o jedno u Boga:
O światło...

...Świat cały był stepem;
Z ludnego i pięknego milczącym i ślepym,
Bez pór roku, bez roślin, bez ludzi, bez czucia
Trup, chaos powolnego żywiołów zepsucia.
Stoją gładkie rzek, jezior, oceanu tonie,
I nic się nie porusza w ich milczącym łonie.
Okrety bez żeglarczyń pośród morza tkwily;
Maszty ich kawałkami padały i gniły,
I tonęły na wieki w spokojnych wód bryle.
Burze usnęły, fale spoczęły w mogile;
Bo nie było księżycy, coby je podźwignął.
Wicher w stęchłym powietrzu uwiązł i zastygnął;
Znikły chmury; to dawne ciemności narzędzie
Stało się niepotrzebnem: ciemność była wszędzie.

Ciemności stanowiły wszechświat!
Czy słońce może być zamieszkalnem? Na to

pytanie odpowiada nam jego ustrój fizyczny, jego wysoka temperatura, ciśnienie warstw współśrodkowych, wreszcie jego stan gazowy. Ze wszech względów niepodobna nam pojąć: w jaki sposób jestestwa żywe rośliny i zwierzęta mogłyby istnieć na kuli słonecznej. Wszyscy fizjologowie zgadzają się na to, że żaden organizm ziemski nie mógłby się oprzeć zniszczeniu, będąc pomieszczonym w ośrodku, którego temperatura przechodzi 100 stopni. Otóż nie 100, lecz 1,000 do 2,000 stopni ciepła posiadają warstwy fotosfery słonecznej. Jakimże cudem mogłyby się oprzeć rośliny i zwierzęta, choćby przez jedną sekundę, temperaturze, w której stapiają się najoporniejsze metale?

Stronnicy zamieszkalności słońca, powołują się na to, że odrębnym warunkom fizycznym odpowiadają odrębne organizmy; że na ziemi nawet zachodzi zawsze harmonia konieczna między jestestwem a ośrodkiem, w jakim ono żyje. Zwróćmy jednak uwagę, że i warunki mają swe granice. Jak tego dowodzi historia paleontologiczna naszej planety. W rzeczy samej, w epokach pierwotnych życie nie przejawiało się jeszcze, a w następnych okresach geologicznych rozwijało się stopniowo w miarę modyfikacji fizycznych, jakim ulegała ziemia i jej atmosfera.

Przypuszczać istnienie jakichkolwiek istot na kuli słonecznej — jest to cofać się do marzeń i przesądów średniowiecznych, wierzyć w byt dziwolągów jak salamandry, które miały żyć w ogniu. W rezultacie więc słońce jest gwiazdą, na której życie dziś jest niemożliwem. Powtarzamy *dziś*, gdyż przyjsć może dzień po upływie wielu milionów wieków, w którym słońce ulegnie transformacji i stanie się siedliskiem życia. Jest to wielce prawdopodobnem, lecz wówczas ziemia i wszystkie planety nie będą już zaludnionymi.

Rola zresztą słońca ze względu biologicznego jest niemniej ważną niż ziemi i innych ciał niebieskich około niego krążących. Jest ono ogniskiem potężnych wibracji, roznoszących wszędzie ruch i życie; z przerwą zaś owych wibracji wybiłaby godzina śmierci dla wszech gwiazd składających świat słoneczny i dla wszelakiego organizmu.

W. Niewiadomski.

1 szą SZKOŁĄ KORONKARSTWA

Nauka bezpłatna.

Kurs nauki koronek w roku bieżącym rozpoczętym zostanie dnia 3 Maja; — zapis odbywa się w Poniedziałki, Wtorki i Czwartki od godziny 12 do 1-ej z południa. Desenie, różne, oraz podług wzorów „Bluszczu“ i wszelkie przybory, potrzebne do wyrobu koronek, można nabyć w szkole koronkarstwa przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr 42, mieszkania 3.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 4-ty powieści pod tytułem: **Szaleństwo**, przez Z. Mairét.

TREŚĆ. Pogawędka. — Józef Bohdan Zaleski, wspomnienie pośmiertne. (dokończenie), przez M. Ilnicką. — Boży gniew, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Nowiny paryżkie, (dokończenie). — Z dzieł przyrody, (dokończenie), przez W. Niewiadomskiego.

Dodatek obejmuje: Arkusz 4-ty powieści pod tytułem: **Szaleństwo**, przez Z. Mairét. — Przegląd mód. — 30 wzorów ubiorów robót wraz z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycją stołu.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, Krakowskie Przedmieście Nr 66

Redaktor odpowiedzialny Michał Glucksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 9 Апрель 1886 года.